Rok I. Lwów, 1. Lutego 1899. Nr. 1.

PROMIEŃ



PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Wychodzi raz na miesiąc.

Prenumerata wynosi:
rocznie złr. 1.60, z przesyłką 1.84 — kwartalnie 40 ct., z przesyłką 46 ct. — Numer pojedynczy 15 ct.

Adres Redakcyi: Lwów, ulica Kurkowa l. 14.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały". — Krasiński.

Od Redakcyi.

Wydając pierwszy numer pisma, poświęconego sprawom młodzieży szkolnej, winniśmy czytelnikom zdać sprawę z zamiarów swoich i celów.

Że młodzież szkolna sama odczuwa potrzebę pisma takiego — to nie ulega wątpliwości. Pisma t. zw. „uczniowskie", wydawane i rozpowszechnione pod osłoną tajemnicy, gdzie młodzież składa „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty" — świadczą o tem najlepiej. Wśród młodzieży szkolnej istnieje potrzeba swobodnego wypowiedzenia tego, co na sercu leży, co w duszy nurtuje — potrzeba znalezienia zakątka, gdzieby można myśleć i mówić zdala od mrożącej, sztywnej powagi profesorów. Popęd ten przejawia się najsilniej właśnie u najlepszych i najzdolniejszych — zamykanie im ust jest to chyba najgorsza pedagogika. Wszakże zaprzeczyć się nie da, że pisma „uczniowskie" mają dużo stron ujemnych — w Galicyi już dlatego, że są tajne a w ogóle dlatego, że młodej, kiełkującej myśli nie wspiera tutaj doświadczenie, rozwaga i wyrobienie starszych.

Pismo nasze chce tej gorąco przez młodzież odczuwanej potrzebie „wypowiedzenia" się dać wyraz jasny i skierować ją we właściwe łożysko. To też prosimy młodzież szkolną, aby zwracała się do nas i pismo nasze uważała za swój organ. Prosimy Was, koledzy o korespondencye, o komunikowanie nam swych poglądów na zajmujące was sprawy, wreszcie o próby literackie.

Na tem jednak zadanie pisma naszego bynajmniej się nie kończy. Chcemy nietylko dać młodzieży szkolnej możność swobodnej wymiany poglądów, ale zarazem, a nawet głównie oddziaływać na nią pod względem umysłowym i uczuciowym.

Pod względem *naukowym* chcemy, by „Promień" był, w miarę sił, uzupełnieniem, a nieraz poprawieniem nauki szkolnej. Uważamy np. za wielce szkodliwe, że przewodnicy młodzieży, strzegą jej, niby od zarazy, od prądów nauki współczesnej; tak samo jest faktem, że w szkole nie można się dowiedzieć niczego o rzeczy najważniejszej — o społeczeństwie, o prawach, obowiązkach i zadaniach obywatelskich, o walkach, które

wrą na szerokim świecie. „Promień“ będzie się starał — o ile siły pozwolą — *usunąć tę kwarantannę myśli.*

Dalej będziemy podsycali w młodzieży znicz *uczuć narodowych* i wskazywali właściwy ich kierunek. W zaborze rosyjskim i pruskim uczucia te są prześladowane i gnębione, panuje tam niecny system rusyfikacyi i germanizacyi. W zaborze austryackim narodowość nasza uciskana nie jest, ale tutaj szlachetne uczucie patryotyzmu wyradza się aż nadto często w krzykliwy, bezmyślny *szowinizm*, w zaściankowość narodową, w pogardę dla innych narodów — albo też zanieczyszcza się przez domieszkę pierwiastku obco-państwowego. Co do nas, pragniemy, aby uczucie narodowe płonęło jasnem i czystem światłem, aby było podnietą do czynów szlachetnych, aby nigdy nie traciło ścisłego związku z ideą postępu i szczęścia ogólno-ludzkiego.

To też na równi z uczuciami narodowemi pielęgnować będziemy *uczucia i sympatye społeczne.* Będziemy tępili przesądy arystokratyczne, będziemy wpajali cześć dla pracy, zwłaszcza dla ciężkiej pracy milionowych rzesz ludowych, będziemy budzili życzliwość dla spraw i dążeń ludu pracującego.

O ile powiodą się nasze zamiary — nie wiemy. W znacznym stopniu zależeć to będzie od materyalnego i moralnego poparcia czytelników. My postaramy się uczynić wszystko, co będzie w naszej mocy.

Dodać jeszcze musimy, że komitet redakcyjny „Promienia“ składa się z młodzieży, kształcącej się w wyższych zakładach naukowych.

* *
*

Pierwszy numer pisma swego poświęcamy, w hołdzie i dziękczynieniu, bohaterom i męczennikom powstania Styczniowego.

Lwów, w styczniu.



O potrzebie organizowania się młodzieży.

W życiu ludzkiem zdarzają się dość często chwile zwątpienia. W chwilach takich całe nasze życie przedstawia się w kolorach bardzo czarnych, nie wierzymy w lepszą przyszłość dla siebie, przed i za sobą widzimy tylko przykrości życia, tylko jego ujemne strony. Ciężka i twarda praca codzienna wydaje się nam tylko środkiem do zaspokojenia koniecznych potrzeb życiowych, życie samo jako wegetowanie w obawie i oczekiwaniu marnego końca traci w naszych oczach wszelką wartość. Jest to stan apatyi, w którym uwydatnia się cały ciężar cierpień życiowych, ale zarazem także ich marność.

Zdarzają się w życiu także innego rodzaju chwile i to w warunkach zupełnie odmiennych. Stan materyalny człowieka jest dobry, kłopoty o chleb codzienny nie bardzo, albo nawet zupełnie mu nie ciążą: dni spędza wśród wesela i radości; wszystko składa się na jego zadowolenie, a przecież nie jest zadowolony, czuje w około siebie jakąś próżnię, jakąś czczość. Nie wystarcza mu zaspokojenie materyalnych potrzeb, przeciwnie przedstawia się jako rzecz, bardzo licha i marna. Brak mu czegoś, i to już nie materyalnego, bo do tego czuje wstręt, czegoś nieokreślonego. Jest to stan przesytu, również bardzo przykry i ciężki, a różniący się od apatyi nietylko odmiennością wywołujących go warunków, ale i zupełną sprzecznością swoich objawów; bo gdy apatya prowadzi do pogardy wszelkich zabiegów, prac i trudów ludzkich, stan przesytu uwy-

datnia marność przyjemności ludzkich, marność t. zw. szczęścia ludzkiego.

W chwilach takich, które na każdego z nas przyjść mogą niech nam będą oparciem i wskazówką słowa naszych wielkich poetów. Posłuchajmy, co mówi Mickiewicz w „Księgach narodu polskiego:“ „Ten jest większy między ludźmi, kto im służy i kto poświęca siebie dla dobra ich. A im kto lepszy, tem więcej poświęcić powinien. Nie jest szanowana na ziemi ani mądrość ludzka ani urząd, ani bogactwo ani korona, ale jedno tylko jest szanowane poświęcenie się dla dobra ludzi. I kto poświęca siebie dla drugich, znajdzie mądrość i bogactwo i koronę na ziemi, w niebie i na każdem miejscu. A kto poświęca drugich dla siebie, aby miał mądrość i urząd i bogactwo, znajdzie głupstwo i nędzę i potępienie na ziemi, w piekle i na każdem miejscu.“ Te słowa przynoszą nam całe rozwiązanie kwestyi wartości życia. Życie nasze o tyle tylko ma wartość, o ile poświęcamy je dla dobra drugich, dla dobra narodu i ojczyzny, a całe zadowolenie nasze, całe szczęście ludzkie, leży w spełnieniu tych obowiązków względem narodu i ojczyzny i jest tem większem i zupełniejszem, o ile bardziej zdołamy nasze osobiste względy i potrzeby ograniczyć i podporządkować je temu ogólnemu celowi życia naszego. Chodzi o to tylko, kiedy się ta praca ma rozpocząć. Otóż od chwili, gdy się tylko zbudzi nasza świadomość tego powołania, powinniśmy się natychmiast zabrać do jego spełnienia. Praca to wielka, poważna, nie mająca kresu ani końca; dlatego musi się zacząć jak najprędzej i nie może ustawać ani na chwilę. Błędne jest mniemanie, żeby praca ta kiedykolwiek mogła się zacząć za wcześnie i w ten sposób mogła zaszkodzić komukolwiek i powstrzymać dalszy jego rozwój i że czas studyów akademickich dopiero jest porą odpowiednią do rozpoczęcia tej pracy; przeciwnie już w szkołach średnich powinniśmy i musimy do niej przystąpić. Przedewszystkiem, im wcześniej zaczniemy, tem świeższe siły będziemy mieli do rozporządzenia; powtóre choćby i siły nasze były dość jeszcze nieznaczne, to każda najmniejsza praca nasza, podjęta dla tej myśli, każdy najdrobniejszy czyn nasz, spełniony pod wpływem tej idei, będzie małą cegiełką do wybudowania przyszłego, wielkiego i wspaniałego gmachu niepodległej ojczyzny naszej. Nakoniec musimy przyznać, że wcześniej zabrawszy się do tej pracy, rozpoczniemy ją z tem większym zapałem, bo nieprzytłumionym żadnemi zwątpieniami i rozczarowaniami, rozpoczniemy ją z tem większym zasobem energii, pomni, że „kto dzieckiem w kolebce łeb urwał hydrze, ten młody zdusi centaury,“ tak, że wszelkie dalsze przykrości i trudy nie będą w stanie pozbawić nas tego entuzyazmu dla sprawy narodowej, będą go tylko podniecać i potęgować.

Wykazałem konieczność wczesnego przystąpienia do dzieła pracy obywatelskiej t. j. już w szkołach średnich; teraz przedstawię sposób spełniania obowiązków z nią połączonych. Wiadomo kolegom zapewne o „Promienistych“, „Filomatach“ i „Filaretach,“ związkach młodzieży wileńskiej, do których i Mickiewicz należał. Otóż ta młodzież postawiła sobie trzy hasła, pod któremi miała pracować — ojczyzna, nauka i cnota. Ojczyzna i jej niepodległość była głównym ich celem, nauka i cnota były środkami, do tego celu prowadzącymi. W ten sposób powinna cała młodzież pojąć swoją pracę dla dobra ojczyzny. Przedewszystkiem tą iskrą, ożywiającą wszystkie nasze czyny, dążenia i uczucia musi być myśl o odbudowaniu wolnej Polski; tembardziej, że są w kraju naszym ludzie, którzy również zachęcają nas do nauki i cnoty, jednak nie pamiętają o tem, że tak nauka jak i cnota o tyle tylko mają wartość, o ile służą idei niepodległości narodowej. Pierwszym środkiem tej pracy powinno być kształcenie się, w najogólniejszem tego słowa znaczeniu, a więc kształcenie swej woli, swego umysłu i swoich uczuć. Kształcenie woli odbywa się już bardzo skutecznie przez ciągłe działanie w myśl hasła sprawy polskiej, w myśl idei pracy dla dobra narodu. Kształcenie umysłu odbywać się powinno w szkole; ale tu już musimy sobie powiedzieć, że wykształcenie szkolne, szczególnie przy dzisiejszym systemie, jest niewystarczające, jest małą tylko cząstką tego, co umieć jesteśmy obowiązani jako przyszli obywatele Polski, wolnej i odrodzonej, że daleko większą część jego sami nabyć musimy. Znajomość naszej literatury, na pierwszem miejscu naszych największych wieszczów, powinniśmy zdobyć już w szkołach średnich, bo w czasie studyów fachowych

nie ma już na tyle czasu, aby módz te rzeczy gruntownie i ze spokojem zgłębić.

Wreszcie trzecia część tego nauczania samego siebie t. j. kształcenie uczuć narodowych polega na wczytywaniu się w historyę polską i ciągłem wprowadzaniu tych uczuć w czyn. Takim bardzo ważnym czynem jest zajmowanie się losem warstw ludowych, zbliżanie się do nich, poznawanie ich sposobu myślenia, ich pojęć i uczuć. Każdy z nas zdaje sobie z tego sprawę, że wiekowe zaniedbanie i niewola tego ludu, nie pozwoliły nam dotychczas odzyskać niepodległego bytu, że zatem praca nad tym ludem, podnoszenie i kształcenie jego, jest obowiązkiem wszystkich Polaków; w warstwach ludowych leży nasza największa siła, a dzień w którym dla Polski zabłyśnie wolność, musi być i dniem wyzwolenia społecznego tychże warstw.

Takby się ogólnie przedstawiał plan pracy obywatelskiej, odnośnie do sił i środków młodzieży szkolnej, plan, jakby się na pozór wydawało, przeznaczony tylko dla jednostki. Mojem zdaniem praca taka jednostki jako jednostki, choć nie pozbawiona korzyści i dobrych stron, jest jednak niewystarczająca i nie spełnia celu swego w zupełności. Zastosuję tu jedno porównanie, nie moje wprawdzie, ale bardzo trafne i dosadne. Gdy węgiel rozżarzony zostawimy sam jeden, będzie się jarzył przez czas jakiś i wkrótce zgaśnie, gdy mu jednak dodamy kilka innych, całkiem czarnych węgli, rozżarzy się jeszcze bardziej a z wszystkich węgli razem powstanie wielki żar i ogień. Użyjmy tej teoryi żarzących się węgli do naszego przypadku. Jednostka pojmująca dobrze obowiązki swe względem narodu i pracująca nad ich spełnianiem, to ów jeden żarzący się węgiel. Osamotniona, pozostawiona bez związku, oparcia i pomocy innych jednostek, taksamo jak ona pod względem narodowym uświadomionych, w walce z przeciwnościami i z wrogami, zgaśnie jak ów węgiel samotny, po jakimś czasie, a choć praca jej na marne nie pójdzie, to jednak nie zrobi tyle, coby w innych warunkach zrobić zdołała. Te inne warunki zawierają się w łączeniu się, kojarzeniu bratnich jednostek, tą samą myślą przejętych, dla tej samej idei pracujących. Wynika stąd jasno potrzeba organizowania. Przedstawię tę rzecz jeszcze z innego stanowiska. Każdy z nas przechodzi około 14-tego roku życia okres, w którym budzi się w nim bardzo żywo zmysł organizowania się. A więc urządza się wtedy zabawy, teatrzyki amatorskie, wspólne gry i t. d. Widocznie w chłopcu w tym wieku jest ta potrzeba organizowania i łączenia, ale nie znajduje właściwego objawu, właściwej drogi. Tą jedyną drogą odpowiednią jest zakładanie stowarzyszeń młodzieży szkolnej o celach narodowo-naukowych. Rozumieją tę potrzebę organizowania się sami profesorowie, to też w „Związku rodzicielskim“ we Lwowie poruszono już myśl zakładania tego rodzaju stowarzyszeń. Jest to dowodem, że wszyscy odczuwają konieczność tego, wszyscy rozumieją, że, aby zapobiedz zbieraniu się młodzieży dla celów nizkich, może nawet złych, trzeba wywołać stowarzyszania się pod hasłem szlachetnem i uczciwem, bo jak mówi Mickiewicz „każda dusza musi czemkolwiek być poruszona; jeśli nią nie ruszają wielkie rzeczy, to się będzie ruszać w nizkości i podłości.“ Ale pomimo, że ciągle rozlegają się narzekania na zmateryalizowanie młodzieży, na brak zapału i poświęcenia u niej, nie wielu ludzi bierze się do zaradzenia złemu. Inicyatywa musi wyjść od samej młodzieży szkolnej. Ufamy, że w każdem mieście, gdzie jest gimnazyum lub szkoła realna, znajdzie się choć jedna jednostka, będąca tym żarzącym się węglem wśród zimnego, lub tlejącego słabym płomieniem ogółu młodzieży szkolnej. Do tych jednostek ja się więc zwracam i wzywam je do organizowania tego rodzaju stowarzysseń wśród swoich kolegów. Niech się nie zrażają tem, że w około nich wszędzie popiół, niech grzebią wśród popiołu, a z pewnością znajdą wiele niespopielonych jeszcze węgli, które własnym żarem będą mogły rozdmuchać i rozjarzyć. Szukajcie a znajdziecie wśród waszych kolegów wielu smutnych, cierpiących, zniechęconych do życia, może nawet nienawiścią pałających do obecnego porządku świata. Oni będą dla was najlepszym materyałem; ból i cierpienie wielkie wzbudziło w nich wielką siłę, która na razie może jest niszczącą; waszem staraniem powinno być, zrobić tę siłę budującą, pożyteczną, obrócić ją na korzyść sprawy narodowej. Wskażcie im cel wielki i święty, połączcie ich do wspólnej pracy, przypomnijcie im to, co mówi Mickiewicz, że „oprócz win własnych

innego prawdziwego nieszczęścia nie ma“, a wnet poczną cenić wartość swego życia, przestaną narzekać na swoje przykrości, trudności i znoje, które niczem im się wydadzą, oświetlone wielkiem hasłem. Nie pomijajcie także i tych, których zastaniecie w stanie przesytu, bo im brak również wielkiej myśli, wielkiego celu, ważniejszego od wszelkich materyalnych potrzeb i przyjemności. Niech nie odrzucają tych dobrych materyalnych warunków, ale niech je cenią jako środki, potęgujące siłę jednostki w dążeniu do uszczęśliwienia narodu i ojczyzny. A gdy się was zbierze niewielu, nie zrażajcie się tem: ale złączcie wasze siły, organizujcie się a wnet przybędzie wam członków. Według obliczeń jednego matematyka niemieckiego, gdyby jeden człowiek psuł w każdym roku jedną jednostkę, a ta jednostka także co roku jedną jednostkę i t. d., to w przeciągu 20 lat milion ludzi byłoby popsutych. Rozważcie to dobrze i spytajcie się, coby było, gdyby jedna jednostka zdołała co roku pobudzić do pracy około sprawy narodowsj jednego tylko człowieka, a ten w ten sam sposób działał na inne jednostki, to mając 20 takich jednostek dzielnych, w 20 latach cały nasz naród podźwignąłby się z upadku!

Celem waszych stowarzyszeń niech będzie popieranie sprawy narodowej, budzenie świadomości narodowej i ruchu umysłowego wśród kolegów, wspólne kształcenie się i wspieranie, wspólna wymiana myśli. A praca taka wcale was odwodzić nie będzie od spełnienia obowiązków szkolnych będzie tylko ich ułatwieniem i powinna się spotkać z uznaniem nauczycieli. Każdy z was odczuwa zapewne potrzebę wynurzenia się z swojemi myślami i uczuciami przed jakąś bratnią duszą. Niech więc te stowarzyszenie będą tem ogniskiem, które skupiać ma około siebie wszystkie najlepsze i najszlachetniejsze siły wśród waszych kolegów, około którego mają się gromadzić i ubodzy i bogaci i smutni i weseli; niech będzie tym punktem, gdzie każdy z was znosić będzie swoje radości i cierpienia, aby radością swoją podzielić się z cierpiącymi, w boleści swej zaczerpnąć pociechy w wspólnej miłości bratniej. Wten sposób zacieśnią się te węzły przywiązania, nawiązane już przez ławy szkolne, stowarzyszenia wasze staną się stowarzyszeniami nietylko dobrych kolegów, ale i szczerych przyjaciół, i tak skojarzeni i złączeni wspólnem dążeniem, wspólnemi myślami i uczuciami, wejdziecie później w życie śmielej, odważniej; śmiało stawicie czoło wszelkim przeciwnościom, bo nic was już nie będzie w stanie sprowadzić z drogi pracy dla ojczyzny, bo ufność i pomoc wzajemna bronić was będą przed odstępstwem i upadkiem.

Pamiętajcie wreszcie, żeście Polakami, że spada na was daleko cięższy i świętszy obowiązek pracowania dla narodu, niż na ludzi innej narodowości; oddajcie ojczyźnie całą waszą duszę, aby nie powiedziano o was z Słowackim:

„Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
Oboje Bóg w nim swym piorunem skruszy,
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
Żadną łzą taki Boga nie poruszy —
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Któreby kiedyś jego Bóg rozumiał —
I będzie jak ten dąb umarły szumiał.“



*
*   *

O wiem! My słońca nie zdejmiemy z nieba,
By rozwiać cienie po przepaściach nocy.
Nie rozmnożymy, jako Chrystus chleba....
O wiem! Nie wszystko jest tu w ludzkiej mocy,
A najmniej — w naszej...
. . . Jedno przecie
Każdy z nas zrobić powinien — więc może.
Może za rękę wziąć chłopskie to dziecię,
Co stoi przed nim w służalczej pokorze,
I poprowadzić je na ciche pola,
Gdy ranek bije smugami złotemi,
I cieplem słowem przemówić o ziemi,
Którą uprawiać przypadła mu dola.
O jutrze, które wyorać nam trzeba
Łzami i potem skrapiając te łany,
Gdzie każdy kłosek na przyszły kęs chleba
W spójnej nadziei ma być zasiewany,
Bo tylko takiej przyszłości nasiona
Wzejdą, i chwast ich złośliwy nie zaćmi,
A potem w syna swojego ramiona
Popchnąć to dziecię i rzec: Wyście braćmi,

M. Konopnicka.

Iwan Groźny.

(Pisane pod wrażeniem prelekcyi Mickiewicza.)

Potwór ten niema równych sobie w dziejach świata. „Przed nim,“ jak mówi Mickiewicz, „historya staje w zdumieniu, na widok strasznego zjawiska w naturze.“

Na schyłku panowania rzymskiego powstawały potwory i okrutniki, jak Neron, Kalligula; historyę Francyi oszpeca wstrętna postać Ludwika XI-go, ale Iwan Groźny przeszedł wszystkich okrutników.

Mickiewicz, badając dzieje Rosyi za panowania Iwana, stara się być o ile możności bezstronnym, a co więcej zachować spokój i chłód prawdziwego historyka. To mu się najzupełniej udaje: fakty przemawłają same za siebie ogromnym głosem krzywdy ludzkiej.

Rozwój krwiożerczej natury Iwana, Mickiewicz tłumaczy opisując dziki system wychowania, jaki stosowano do młodego cara.

Dziecko to było nieszczęśliwe bardzo, dręczone i prześladowane na każdym kroku, ale zarazem było ono sprytne i zdolne. Ten spryt i zdolności można było obrócić na pożytek kraju, ale czy kto o tem myślał? — Opiekunowie cara walczyli między sobą o pierwszeństwo, a w walce tej nie przebierali w środkach. Najohydniejsze intrygi, najkrwawsze mordy odbywały się na dworze carskim. A sam car był wtedy widzem tylko, więc patrzał i uczył się. Nie był on jednak widzem obojętnym, bo często „nie zważając na płacz i krzyk z rąk mu wydzierano ulubieńców, żeby prowadzić pod topór katowski.“ Nakoniec otruli Iwanowi matkę, a sami truciciele stali się opiekunami sieroty.

Tak więc chował się Iwan okrutny, ale czyż mógł być on nieokrutnym? Gdzie on mógł nauczyć się miłości bliźniego? Gdzież on widział tę miłość? Wprawdzie miał on sposobność poznać miłość, sprawiedliwość, wspaniałomyślność, bo opiekunowie ciągle je mieli na ustach, ale też nieraz się przekonał, że wszystko to było tylko czczym frazesem. Mówiono małoletniemu carowi o tych cnotach szczególniej, gdy przyjmowano zagraniczne poselstwa. Wtedyto zaczynano się zajmować carem; ubierano go w najdroższe suknie, sadowiono na tronie, a ci, co przed chwilą traktowali go jak najgorzej, płaszczyli się przed nim, bijąc mu czołem i przemawiając doń z całym szacunkiem, jaki się należał despotycznemu władcy. Wtedyto w przemówieniach do posłów, bojarowie nie szczędzili pochwał wspaniałomyślności monarszej mówili o miłości, pobłażliwości i t. d. A młody despota, w którego sercu tliła jeszcze iskierka poczucia sprawiedliwości, widząc całą obłudę i podłość bojarów, poprzysięgał im w duchu zemstę straszliwą. To też zemścił się najokropniej, jak mógł i umiał.

Mając trzynaście lat, w czasie uczty kazał pochwycić wszystkich swych opiekunów Szujskich i zaszczuć psami. Po pierwszej pomyślnej próbie ten dzieciak jeszcze zaczyna mordować, na nic nie zważając i wkrótce staje się najkrwawszym zbrodniarzem świata. Z początku mści się na swych gnębicielach, ale potem traci zupełnie poczucie najprostszej sprawiedliwości, zaczyna zabijać dla samej przyjemności zabijania. Sprawia mu to wielką przyjemność, gdy własnoręcznie zapala spirytusem oblane brody posłów nowogrodzkich. Lubuje się on w krzyku mordowanych ludzi, jęk konających wywołuje mu uśmiech na twarzy. „Charakter skłonny do okrucieństw, a pogorszony złem wychowaniem, rozwinął się gwałtownie w młodym księciu,“ a rozwinął się on niepohamowany niczem.“

„Nagle przyszła jeszcze na niego chwila opamiętania,“ jak mówi Mickiewicz. Wywołał ją straszny pożar Moskwy i bunt.

Od chwili tego pożaru młody okrutnik staje się innym, ale czy trzeba koniecznie wierzyć, że się on stał cnotliwym?

Czyż nie możemy przypuścić, że udawał tylko cnotliwego, bo się obawiał buntu?

Bunt ten jest jedynym masowym protestem ludu rosyjskiego przeciwko tyranii despoty. Gdy po kilkunastu latach spokoju Iwan zaczął znów zabijać i wieszać, już się lud nie poruszył i z biernością baranów kładł głowę pod topór katowski.

Iwan zląkł się buntu, a gdy się raz bojaźń wkradła do jego duszy, począł się też lękać i kary pośmiertnej za swe morderstwa, bo chociaż nie był wychowany ani moralnie, ani religijnie, był jednak przesądnym bardzo.

W tej chwili ustają okrucieństwa; na cara poczynają wpływać Sylwester, spowiednik, i Adaszew, ludzie rozumni i cnotliwi. Pod ich wpływem Iwan stał się zupełnie in-

nym, a w kraju zapanował spokój, którego Rosya już oddawna nie zażywała. Iwan w przeciągu kilkunastu lat, był rozumnym, wspaniałomyślnym monarchą, dbającym o dobro kraju i słuchającym rozumnych rad swych zaufanych i bojarów. Z biegiem czasu jednak poczęli mu ciężyć jego doradcy; jego samo dzielna, niepohamowanie okrutna natura nie mogla znieść cudzych rad i napomnień kapłańskich, ciągle się też nosił z myślą wzmocnienia carskiego despotyzmu. Aby uprawnić tytul cara, którego też zaczął używać, zamiast tytułu wielkiego księcia, starał się on wywieść swój ród od cezarów rzymskich. Swoje plany począł Iwan wprowadzać w czyn, po wzięciu Kazania. Mickiewicz tak o tem mówi: „Są wzmianki, że właśnie w tym czasie, kiedy Kazań zdobyty został, poczęły się objawiać w słowach i postępkach wielkiego księcia pierwsze znaki przerażającej zmiany, jaka zachodziła w jego duszy. Gdy dostojnicy i bojarowie przyszli mu winszować tak korzystnej i świetnej zdobyczy, zamyślił się nagle i poglądając ponuro, przemówił zcicha, jakby sam do siebie: „Nie boję się już bojarów, obejdę się już bez nich."

Zmiana jednak postępowania cara, datuje się od ciężkiej choroby, uważanej za śmiertelną. Będąc pewni śmierci Iwana, bojarowie naradzali się przy jego łożu, komu oddać tron, i wtedyto zostal pominięty prawowity następca, małoletni syn Iwana. Jedni z bojarów sprzeciwiali się temu, aby carewicz został obrany, z osobistych powodów, inni, do których należeli Sylwester i Adaszew, bali się „zamieszek, jakie długa małoletność cara mogłaby sprawić." Car Iwan nie zapomnial im tego, a gdy wyzdrowiał, postanowił się zemścić.

„Nie zaraz wszakże rozjątrzone jego uczucia wyszły na wierzch: zawsze wyrachowany i chytry umial je kryć i powściągać."

Powoli usuwał od siebie Sylwestra i Adaszewa i stopniowo dopiero przeszedł do prześladowania tych dwóch ludzi. Następnie puścil okrutnik wodze swej rozpasanej naturze i począł się z rozkoszą nurzać we łzach i krwi.

W żelaznych rękach Iwana naród rosyjski daje się gnieść jak wosk z pokorą zaiste zadziwiającą. Pomimo najokropniejszych zbrodni, pomimo najpotworniejszej niesprawiedliwości z całego narodu odezwały się tylko dwa głosy, które się ośmieliły potępiać postępki cara. Byli to książę Kurbski i metropolita Filip. Książę Kurbski pisze z Polski listy, nawołując cara do opamiętania; Filip publicznie w cerkwi mówi carowi w oczy to, co uważał za swój obowiązek. Głos Filipa był głosem męczennika i bohatera, ale był on zarazem głosem wołającego na puszczy, bo gdy Filip zamilkł zmuszony do tego postronkiem, już żaden protest się nie podniósl. Bez oporu, jak bydło, szedł pokorny naród pod nóż.

A car „wymiatał" i „wymiatał" ziemię rosyjską z niepokornych i dumnych, a „wymiatał" tak dobrze, że chociaż przeszły już setki lat, naród rosyjski dobrze pamięta cara Iwana i może nie prędko jeszcze potrafi zetrzeć z siebie straszne piętno niewolnictwa, które nałożył nań despota i okrutnik.

Myśli

Kto skupuje stronników, albo wykazaniem materyalnych korzyści, chce obudzić zapał Polaków, taki popełnia grzech przeciw Duchowi świętemu ziemi naszej, dla którego Bóg nas oddał w niewolę.

J. Słowacki.

* * *

Młodości, ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.

A. Mickiewicz.

Głosy młodzieży szkolnej.

Otrzymaliśmy ze sfer studenckich następujący artykuł.

„Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił!..."

Sposób, w jaki się spędziło młodość, wpływa w znacznej mierze na całe późniejsze życie. Kto w swej młodości czul zapał dla tego, co piękne i wzniosłe, ten całe życie pozostanie wierny ideałom młodości. Taki, może być przyrównany do ogniska, które gorzało potężnym płomieniem a chociaż potem pozornie wygasło, zawsze jednak jest

w niem utajony żar, który najlżejszy powiew rozdmuchać może.

Kto w swej młodości nie czuł gorąco, ten później, chociażby nie został serwilistą i karyerowiczem, będzie podobny wygasłemu ognisku, w którem wszystko się w popiół obróciło i z którego najsilniejszy wiatr nie wydobędzie iskierki.

W młodości musi każdy człowiek nietylko się starać zdobyć sobie takie zapasy nauki i wiedzy, aby je w późniejszem życiu tylko uzupełniać potrzebował, ale nadewszystko musi nauczyć się czuć jak młody i wyrobić sobie charakter.

Takiem byłoby zadanie każdego młodego człowieka, a cóż dopiero można powiedzieć o młodym Polaku, członku narodu, który utracił niepodległość, który jednak walczy ze złym losem, nie tracąc nadziei w zwycięstwo, który pod hasłem „za wolność naszą i waszą" dąży nietylko do szczęścia własnego, ale także do zreformowania stosunków całej ludzkości. Ten naród. materyalnie, tyle razy słabszy od swych wrogów, porywa się na zadania, które ludzie t. z. „rozsądni" nazywają szaleństwem, nie ulega w walce, ale przeciwnie, rozwija się pomyślnie.

Tę odporność i żywotność zawdzięcza on przedewszystkiem, swej wzniosłej wszechludzkiej idei i swej wielkiej poezyi „będącej tej idei wyrazem. „Ta poezya zagrzewa go, pobudza do czynów i dodaje mu sił, wskazując na ogromną przewagę potęgi ducha, nad potęgą materyalną i żądając „realizacyi" idei.

Młodzież polska przejmuje się tymi ideałami, ale galicyjska „straż pożarna" zmywa jej głowę zimną wodą, głosząc z kartek książek, szpalt dzienników i przez usta profesorów uniwersytetów i szkół średnich że to wszystko są „piękne zapały poezyi", ale nikt przecie nie będzie „tak naiwnym, by to brać na seryo."

W ten sposób nasze szkoły starają się odebrać nam to, co mamy najdroższego, t. j. ideę, nie dając w zamian za to prawie niczego, bo i nauka prowadzona na sposób niemiecki, szkodzi samodzielności myślenia. Co do wyrabiania charakteru, mowy być o tem nie może, gdy się starają nam wydrzeć ideały.

Młodzież polska więc, aby stanąć kiedyś na wysokości swego zadania, powinna organizować się i z hasłem Filomatów „Ojczyzna, nauka i cnota" na ustach, przysposabiać się do pracy około zbawienia Ojczyzny, na drodze nauki i cnoty *Ziemowit.*

Do młodego poety.

Choćby cię w drodze mary piekielne
Wstrzymały — z nich sobie szydź:
Wyciągnij ku nim ramię swe dzielne
Zgnieć je i idź...
Idź naprzód! naprzód, do tego celu,
Co świętym dla ciebie być musi.
Zawód w tej drodze spotkał już wielu,
Lecz ciebie może nie zdusi.
On cię nie zdusi, gdy w twojej twarzy
Lśni się zapału, miłości blask,
Gdy w twoich oczach ogień się żarzy,
Gdy cię nie trwoży twych wrogów wrzask.
Więc nieulękłem spojrz w przyszłość okiem;
Jakbyś o krzemień uderzył stal,
Iskry się sypną, wrzącym potokiem
Z piersi pieśń wartka wyrwie się w dal:
I w górę ciebie porwie natchnienie
I w czarodziejski uniesie świat,
A wówczas ciebie i twoje pienie
Będą czcić ziomki przez setki lat.
Słowem podźwigniesz ty z zapomnienia
Lud Swój; a słowo gdy poprze czyn,
Z barków ich zrzucisz marę brzemienia —
Gdy do zmazania swych ojców win
Wezmą się szczerze — wówczas, poeto,
Ujrzysz przed sobą swych marzeń raj,..
Lecz by być dla nich większą podnietą,
Pierwszy w tej sprawie swe życie daj!..,

K. Ikceldeis.

W rocznicę powstania styczniowego.

Nie będziemy tu kreślili historyi powstania: w piśmiennictwie naszem nie brak dzieł, z których powziąć można dokładne wyobrażenie o tej świetnej i bohaterskiej walce. Do prac tych odsyłamy czytelnika, który chce się z tym ważnym ustępem naszych dziejów porozbiorowych gruntownie zapoznać. *)

*) Zwłaszcza polecamy: „Historyę powstania narodu polskiego" Bolesł. Limanowskiego i „Stuletnią walkę o niepodległość" przez X. Y.

A to przecież jest obowiązkiem każdego Polaka.

W artykule tym chcemy się tylko podzielić z czytelnikiem kilku uwagami, które nasuwa nam rocznica powstania.

Przedewszystkiem więc składamy należną daninę czci i wdzięczności tym śmiałym i tym szlachetnym, którzy świadczyli orężnym protestem, że „Polska nie zginęła," którzy szli na śmierć w imię wolności i niepodległości. Prawo narodu naszego do samoistności jest święte i nieprzedawnione, ale nikt nam dobrowolnie prawa tego nie przyzna, jeśli będziemy się zadowalali westchnieniami i marzeniami. Prawo trzeba sobie zdobyć, drzewo wolności wyrasta na glebie, użyźnionej krwią całych pokoleń. Więc cześć tym, którzy zrozumieli i odczuli wielką tę prawdę, którzy nie chcieli ugiąć dumnego karku pod jarzmo i krew swą przelali dla wielkich zadań narodu polskiego.

Znaleźli się wszakże ludzie, — niestety jest ich dość dużo — którzy ośmielili się rzucić na bohaterów powstania kamieniem potępienia. To są ludzie — ślimaki, ludzie — krety, którzy odzwyczaili się od słońca i słońca nienawidzą; ludzie, którzy widzą „takie świata koło, jakie tępemi zakreślą oczy," ludzie płazy, w samolubstwie pogrążeni. Ale kto zachował w sercu choć skrę uczucia, kto rzeczywiście kocha naród i wolność, ten wie, czem były nasze powstania. Bez nich bylibyśmy „kramem tylko, nie narodem." Gdybyśmy nosili kajdany z pokorą podłych niewolników, ha — to zaiste wielkie byśmy mieli korzyści. Żony naszych hrabiów byłyby „pierwszemi pokojówkami" na dworze carskim, ordery spływałyby deszczem na piersi polsko-moskiewskich dostojników, żadne „mrzonki" i „marzenia" nie zakłócałyby „ugody" między caratem, a „wiernymi poddanymi"... Ale czemże wtedy byłby naród polski? Odrętwiałem cielskiem bez myśli, bez szerszych dążeń, bezbronną ofiarą obcych ciemięzców i swojskich pijawek. Że tak nie jest, zawdzięczamy to temu, iż nie byliśmy niewolnikami, lecz — bojownikami. Przypomnijmy sobie słowa z „Giaura:"

„Kto z was ojczyzny z więzów nie wy-
[bawi,
Zginie — lecz tyle synom swym zostawi
Sławy, nadziei, że staną się zdolni
Rozerwać jarzmo i umierać wolni!
Walka o wolność gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna;
Sto razy wrogów zachwiana potęgą
Skończy zwycięstwem!..."

Przyczyną upadku naszych powstań było nie to, żeśmy się porywali do walki z potężnym wrogiem, lecz to, że w walce nie brały udziału szerokie masy ludu pracującego. Zbyt szczupłe były nasze siły, bo lud pracujący, skrępowany ohydnymi więzami pańszczyzny w większości swej był jeszcze obcy ideom narodowym i politycznym. Naprożno najlepsi ludzie w narodzie — począwszy od Kościuszki, z mniejszą lub większą energią dążyli do związania interesów ludu z powstaniami. Naprożno! bo pańszczyzna krępowała siły ludu. jego myśl zasnuwała oponą ciemnoty, wywoływała w nim tępą i głuchą niechęć, lecz niechęć ta nie prowadziła do świadomej walki o swe prawa. Ci zaś, którzy żyli z pracy pańszczyźnianej, nie chcieli zrzec się dobrowolnie przywilejów swoich. A przecież słuszność mieli rewolucyoniści nasi, mówiąc im: „Chcecie wolności Ojczyzny? Zaślepieni nie będziecie jej mieli, jeśli nie dacie chłopu wolności ziemi, nie uczynicie z niego świadomego obywatela".

Płynie stąd dla nas ważna nauka. *Tylko wtedy naród polski może zdobyć sobie wolność i niepodległość, gdy największa jego część — lud pracujący — połączy z tym celem dążenia swoje do wyzwolenia społecznego, do dobrobytu i oświaty.* Kiedy miliony ludu polskiego w sprawie niepodległości widzieć będą *swoją* sprawę, sprawę swego szczęścia i swojej wolności, wtedy naród polski będzie siłą niepokonalną.

Niechże więc wszyscy, którzy szczerze kochają Ojczyznę, pamiętają, że Polska na ludzie się opiera i w ludzie jej zbawienie!

R.

* * *

„Słyszymy często, już dosyć dla Polski krwi przelano, O! gdyby tak było! Ale zapominamy, że dziadowie nasi oddali bez wylania krwi Białoruś, bez wylania kropli krwi Galicyę całą i tyle Wielkopolski. Chcieli spokojnie w domach umrzeć, nie przewidując, że wnuków skazują na śmierć, na wygna-

nie. Przypominamy, że kilkadziesiąt tysięcy ludzi zbrojnych wyniosło krew z kraju przed nieprzyjacielem, że krew ta była poślubioną ojczyźnie: Czy kto myśli, że ją można ukraść? ....Im dłużej zwlecze się wypłata, tem z większą lichwą oddać przyjdzie.

Niech więc ten, komu nie udało się być bohaterem, umie cenić i uznać poświęcenia drugich"! *A. Mickiewicz.*

Obleżenie i kapitulacya

Soisson, d. 3 marca 1814

(wyjątek z odczytu J. Brandesa.)

W ostatnich dniach listopada z. r. bawił we Lwowie Jerzy Brandes, słynny krytyk duński, autor dzieła p. t. „Polska," w którem wyraża się z ogromną sympatyą o Polakach i sprawie polskiej. Wygłosił on odczyt „O czytaniu"; wyjątek z odczytu tego, bardzo ciekawy i interesujący, szczególnie dla nas Polaków, przytaczamy na tem miejscu:

Po bitwie pod Lipskiem, położenie Napoleona było takie: Miał on pod bronią 60—70000 ludzi, wojsko rozbite i zmęczone, przeważnie dzieciaki; przeciwko sobie 300.000 żołnierzy zahartowanych i zwycięzkich. Jego generałowie cofają się w nieporządku z powrotem do Francyi. On sam spieszy wszędzie, szczególniej tam, gdzie niebezpieczeństwo jest największe, uspokaja wojsko, rzuca się na spotkanie nieprzyjacielskiego najazdu, bije wroga pod Brienne, pod la Rothiere, jeden przeciw 4-em, niekiedy jeden przeciwko 5-ciu. Ale ponieważ tych przeważających pod względem liczby mas nie byłby w stanie atakować bezpośrednio, oczekuje, jak zwierz drapieżny, przyczajony do skoku, jakiejś szansy, jakiegoś błędu, który nieprzyjaciel, według jego przekonania, popełnić musi.

Błąd został popełniony. Blücher i Schwarzenberg maszerują z oddziałami. Rzuca się na Blüchera, bije go przez 4 dni dzień po dniu, spada następnie na Schwarzenberga, który się musi cofać i znowu pospiesza za Blücherem, ażeby go całkowicie zetrzeć i znowu dźwignąć swoją własną potęgę. Wtem, wszystko się nagle zmienia, gdy mała forteca Soissons, która przeszkadzała Blücherowi i Schwarzenbergowi w połączeniu ich wojsk, właśnie w rozstrzygającej chwili poddaje się nieprzyjacielowi.

Porażka dla Blüchera, powiada Thiers, była tak pewna, jak tylko na wojnie cokolwiek pewnem być może. Po raz pierwszy w tej kampanii, nietylko strategiczna, ale i liczbowa przewaga była po stronie Napoleona. Blücher był zmuszony do przyjęcia walki, majac za sobą rzekę Aisnese.

Co tedy mogło tak zmienić stosunek i los walki? — pyta Thiers. „Człowiek słaby, który nie był ani zdrajcą, ani tchórzem, nie był nawet złym oficerem, dał się tylko przerazić pogróżką nieprzyjaciela. W ten sposób spełnił się ten fakt, najnieszczęśliwszy w dziejach Francyi, jeśli nie liczyć innego wypadku, zdarzonego w roku następnym na polach pomiędzy Wavre i Waterloo."

Odczytajcie tę opowieść w najdoskonalszem jej przedstawieniu, jakie znajdziemy w dziele Henryka Houssaye'a: „1814."

Fortecę Soissons uważano zawsze za punkt strategiczny poważnej doniosłości. Ale w r. 1814 nikt nie pomyślał, ażeby postawić ją na stopie obronnej. Któżby oczekiwał najazdu na Francyę? Szańce były w ruinach, zaczęto je naprawiać. Mianowano dowódzcą generała Moreau — nie krewnego znakomitego Moreau. — Garnizon stanowiła garść ludzi: 700 Polaków, mężnych, wypróbowanych żołnierzy, zrozpaczonych, bo uważali swą ojczyznę za straconą, ale Napoleonowi oddanych niezachwianie, dalej 140 artelerzystów ze starej gwardyi i 80 kawalerzystów, flankierów gwardyjskich. Forteca była uzbrojona w 30 lekkich dział.

Było ich razem 900—1000 ludzi. Na zewnątrz znajdowało się 50.000 Rosyan pod Wernigerodem i Prusaków pod Bülowem, nadto artylerya, złośona z 40 ciężkich armat. Ostrzeliwanie zaczęło się o godz. 9-ej rano. O 12-ej wiele armat było już zdemontowanych, wielu artelerzystów odniosło rany. O 3-ej kolumna rosyjska uderzyła do szturmu. Ale 300 Polaków zmusiło ją do odwrotu. Tego dnia szczupły garnizon miał 23 zabitych i 120 rannych.

Tymczasem dwaj generałowie wojsk sprzymierzonych słyszeli ciągle kanonadę w kierunku Ourcy, co niepokoiło. Po 12 godzinnem bombardowaniu, nie zrobili nawet

wyłomu w szańcach. Wymagało to jeszcze 12-tu godzin, może 36-ciu, a oni nie mieli Ich do stracenia. Wyprzedzali tylko o jeden dzień marszu Napoleona, który „następował na pięty.“ Co było robić?

Bülow posłał parlamentarza, kapitana Mertensa. Gdy Moreau usłyszał, że idzie o poddanie fortecy, odpowiedział odmownie, ale zamiast to uczynić wprost, bez dalszych uwag, rzekł, iż nie może wdawać się w pertraktacye z oficerem, który nie posiada piśmiennego pełnomocnictwa.

W godzinę później Mertens powrócił z listem. Energiczny oficer nie przyjąłby parlamentarza po raz drugi. Stan fortyfikacyi nie był rozpaczliwy. Mógł skorzystać z nocy i naprawić uszkodzenia.

Ale Mertens był zręcznym dyplomatą. Zaczął rozpływać się w pochwałach dla męztwa załogi i komendanta, przypomniał generałowi Moreau szczupłą liczbę jego wojska, jego niedostateczność, ażeby obronić taką pozycyę, wreszcie siłę sprzymierzonych, 50 przeciw 1. Byłoby to wielką odpowiedzialnością, mówił, dla niepotrzebnego oporu narażać miasto na rabunek i spalenie. Moreau odpowiedział frazesem, że da się pogrzebać pod ruinami miasta. Lecz Mertens nie pozwolił sobie tem zaimponować, dojrzał w głębi jego duszy wahanie się i zauważył, że załodze byłoby dozwolonem, po zaszczytnej kapitulacyi, przyłączyć się do wojsk Napoleona.

W ten sposób przemówił do poczucia obowiązku słabego człowieka. Było jasnem, że Soissons w ciągu 2-ch do 3-ch dni musi pomimo wszystko poddać się, wtedy zaś garnizon zostałby w pień wycięty, a miasto byłoby wystawione na okropności grabieży; tymczasem teraz żołnierze mogli wyjść wolni, z bronią.

A jednak Moreau powinien był słuchać tylko naczelnych rozkazów. Regulamin przepisywał: „Należy wyczerpać wszystkie środki w celu obrony, głuchym być na wszelkie wieści i podszepty, pochodzące od nieprzyjaciela.“ A dalej: „Pamiętać, iż poddanie punktu oparcia naszych wojsk o jeden, jedyny dzień za wcześnie, może mieć najdonioślejsze następstwa dla obrony państwa.“

Moreau nieraz dowiódł swej odwagi. Bez męztwa, nie zostałby ani generałem pod Napoleonem, ani dowódzcą fortecy. Ale nie był on dzielnym po bohatersku. I zapewne uważał po cichu, jak większa część generałów, sprawę cesarza za stracona. Nie chciał bez pożytku oddawać siebie na ofiarę.

Zwołał radę wojenną. Pokazało się, że amunicya wynosiła jeszcze 3000 nabojów armatnich i 200.000 kartaczowych. Głosy się rozdzieliły. Szef batalionu A. Hiliers był za tem, że należy wytrwać. Pułkownik polski Kosiński popierał go energicznie. „Ja odpowiadam za moich żołnierzy, ręczę, że będą walczyli 1 przeciwko 4-em.“ Zamiar prowadzenia dalej obrony przeważał.

Lecz zaledwo rada się rozeszla, przybył nowy parlamentarz, a w piśmie, które przyniósł, wyrazy „szturm,“ „rzeź“, „oddanie miasta na łup“ niepokoiły i przerażały. Zeszła się nowa rada wojenna. I tym razem tylko Polak Kosiński, jedyny przemawiał za dalszym oporem, ale jako cudzoziemiec, nie miał głosu roztrzygającego.

Moreau wziął wtedy parlamentarza na bok i zawarował sobie ochronę dla miasta oraz swobodne wycofanie się załogi z bronią i bagażami. Nieprzyjaciel zgodził się na to i Moreau przedstawił radzie wojennej łagodne te warunki. Zresztą rada wojenna miała tylko głos doradczy. Regulamin powiadał: „Gdy rada wojenna wyraziła swe zdanie, postanawia komendant sam i na własną swą odpowiedzialność. Powinien jednakowoż pójść za radą najdzielniejszą i najmężniejszą, jeśli tylko nie jest bezwzględnie niewykonalną.“

Tymczasem nastał dzień. Ciągłe kręcenie się parlamentarzy, zaprzestanie ognia, przerażające milczenie zaczęło niepokoić wojsko. Zbudziły się podejrzenia. Sarkanie ludności łączyło się z oburzeniem żołnierzy Wyrazy, „tchórz“, „zdrada“, dały się słyszeć w szeregash.

Była godzina 9 rano. Odezwała się gwałtowna kanonada w kierunku Ourcy. Odgłos ten wstrząsnął wszystkimi. I oto nastąpiła jak gdyby eksplozya nadziei i gniewu. Wołano: „To armaty cesarza! To cesarz idzie. *C'est le canon de l'Empereur!*“ To okrzyk, który podczas wojny był zawsze hasłem, który budził na nowo męztwo w sercach Francuzów, a wrogowi groził postrachem i porażką. Wobec generałów Napoleona wróg miał nadzieję zwycięztwa, ale drżał wobec niego samego.

Ze wszystkich stron wołano: „Podrzyjcie kapitulacyę! Cesarz idzie!“

Spierano się jeszcze o to, ile dział mają wziąć ze sobą Francuzi, dwa czy więcej. Spór był żywy. Wtedy rzekł generał rosyjski Woronow po rosyjsku do Löwensteina: „Niechajby sobie zabrali swoją artyleryę i w dodatku jeszcze i moją, byleby tylko opróżnili fortecę i poszli precz“.

Podług postanowień kapitulacyi, Polacy mieli ewakuować bramy reimską i laońską. Ale ta garstka polska była tak rozwścieczona że obawiano się starcia.

Polacy — mówi świadek naoczny — szaleli i gryźli ze złości swe karabiny.

W swojej niecierpliwości, generał rosyjski już chciał o godzinie 3-ej wkroczyć do miasta i zbliżył się w tym celu na czele dwóch batalionów. Ale Polacy — 600 ludzi z rannym Kosińskim na czele, odmówili mu wstępu.

„Znów pan tu jesteś?“ zawołał Rosyanin do pułkownika polskiego który stał z ręką na temblaku. „Mam ztąd odejść dopiero o 4-ej i każę strzelać, jeśli nie odejdziecie w tej chwili.

Wernigerode spojrzał na zegarek i rzekł do swego oficera: „Ma racyę. W tył, moi panowie!

Gdy już podpisano dokument kapitulacyjny, w tej chwili zupełnie w pobliżu dała się słyszeć kanonada. Moreau zbladł, pochwycił Löwensteina za ramię i rzekł: Oszukałeś mnie pan. Ogień się zbliża. To Blücher ucieka. Cesarz wrzuciłby Blüchera do rzeki Aisne, gdybym się nie poddał. Powinien mnie kazać rozstrzelać. Jestem zgubiony.“

Napoleon ułaskawił go, ale jest dowiedzionem, że gdyby kapitulacya nie nastąpiła, oblężenie zostałoby przerwane następnego dnia.

Jest francuskie przysłowie, że należy zawsze wystrzelić swój ostatni nabój, ponieważ może to być właśnie ten, który przeważy losy wojny. Moreau zlekceważył ten ostatni strzał. Gdyby nie popełnił tego zaniedbania, prawdopodobnie Europa naszych czasów wyglądałaby inaczej.

Moje panie i panowie! Czy jest opowieść bardziej pouczająca, mająca więcej znaczenia, więcej moralna, aniżeli ta, jeśli ją tylko właściwie czytamy?

Nie czyńcie mi zarzutu, że wysoce jest niepewnem, czy Napoleon, gdyby zwyciężył w r. 1814, nie zostałby mimo to później pobitym. Jestto, przypuśćmy, możliwe, ale nie prawdopodobne. Był on wtedy innym, aniżeli poprzednio, gdy dawał się powodować jedynie swoim ambitnym fantazyom. Wielkość w jego charakterze była wtedy tak dojrzałą, jak nigdy przedtem.

Pozwólcie mi przedstawić rzecz jeszcze wyraźniej i dobitniej. Postawmy tak kwestyę:

Gdyby Soissons utrzymało się, Europie oszczędzonoby przed rokiem 1815 strasznej reakcyi. Przyszłość Europy zawisła tedy na tej nici; a nić tę przecięło nie tchórzostwo ani zdrada, ani nawet podła, prosta nikczemność, której wystrzegają się wszyscy lepsi ludzie, ale h o n o r o w a a l o j a l n a s ł a b i z n a. W tej opowieści tkwi psychologia honorowej słabizny w ogóle.

Czuć katastrofę jak się zbliża krok za krokiem. Wymówek, aby nie uczynić t e j j e d y n e j r z e c z y, k t ó r ą s p e ł n i ć n a l e ż a ł o, gromadzi się jak mrowia.

Jest ludzi 800 przeciw 50.000.

Jak gdyby to tłomaczyło sprawę:

Z ogromną tą przewagą walczono całą dobę.

Jak gdyby to mogło być powodem kapitulacyi.

W każdym razie można było trzymać się jeszcze tylko przez czas krótki.

I cóż to miało do rzeczy!

Narażałoby się życie ludzi niewinnych, t. zn., że popełniwszy czyn lichy, można by przypuszczalnie uratować załogę.

Jak gdyby wzgląd taki mógł stanowić o tym wypadku.

Wreszcie ustępując tym razem ze stanowiska, można było przy innej okazyi wykazać bohaterstwo swoje.

Jak gdyby tu o to chodziło!

Tu było zadanie, które należało spełnić. Tu był rozkaz naczelny, którego należało bezwarunkowo słuchać.

Tu była wola cesarza, tego, któremu wszyscy powinniśmy oddać to, co jest cesarskiego. Tu był punkt wszechświata rozstrzygający.

I nikt z nas nie może nigdy wiedzieć, czy punkt, na którym stoi, nie jest właśnie tym punktem zbieżnym, zkąd nieskończone rozchodzą się nici na wszystkie strony. Tego

nikt nie wie. Co się jednak wie dokładnie, to to, że powinno się być człowiekiem a nie wyrzutkiem, komendantem a nie kapitulantem. Inaczej narażamy się na to, że gdy witani najgłębszym szacunkiem wroga (niema nic mizerniejszego jak ten właśnie szacunek) rzuciwszy broń i w sposób najbardziej honorowy, przy dźwięku bębnów i muzyki podpiszemy kapitulacyę, usłyszymy nagle w pobliżu grzmot armat cesarza. Poznamy wtedy, żeśmy przepadli i zginęli i że się nam słusznie koniec nędzników należy.

Ze spraw szkolnych.

Niedawno odbyła się we Lwowie ankieta w sprawie reformy szkół średnich. Ankieta ta przeważnie z profesorów, fachowców złożona, uchwaliła projekt jednolitej szkoły średniej z obowiązkową nauką łaciny i rozdziałem w wyższych klasach na kierunek gimnazyalny i realny. Zabrali już głos profesorowie, rodzice, akademicy; pojawił się w gazetach cały szereg artykułów, odnoszących się do tej sprawy, nie dano tylko głosu samej młodzieży szkolnej, bo nie było dotąd takiego pisma, któreby zechciało umieścić zdania i uwagi samych uczniów. Starszym ludziom, dbającym o utrzymanie powagi nauczycieli, śmiesznemby się wydało umieszczać zapatrywania niedojrzałej młodzieży, która, wedle ich opinii, nie jest w stanie bezstronnie ocenić braki i wady dzisiejszego systemu, póki pozostaje w obrębie murów szkolnych. Podniosły się już głosy przeciw temu, że ankieta nie może się składać z samych profesorów, że tak, jak nietylko szewc i krawiec sądzi o kroju obuwia, względnie sukna, tak i w sprawie wychowania i nauczania szkolnego głos należy się nietylko profesorom, ale i rodzicom. Nie zwrócono jednak na to uwagi, że młodzież gimnazyalna i realna, to nie jest ta nieczuła skóra lub nieczułe sukno, których się nikt nie pyta o zdanie co do kroju, ale że ona obdarzona jest również świadomością i uczuciem i choćby tylko instynktowo odczuwa, a przedewszystkiem czynnie doświadcza złych skutków metody szkolnej.

Ankieta poruszyła jedną część kwestyi szkolnej, mianowicie zastanawiała się nad zmianą systemu. Ale poza systemem, od którego dobroci zależy niewątpliwie rezultat nauki, istnieje jeszcze czynnik, daleko znaczniejszy i ważniejszy, mianowicie jakość tych, którym oddano wychowanie i naukę młodzieży — charakter nauczycieli. System nauczania, szczególnie w dzisiejszych galicyjskich stosunkach, jest rzeczą martwą i pozostawia bardzo wiele swobody osobistej działalności profesora. A przecież co może zrobić profesor dzielny, stojący na wysokości swojego zadania, jak może powierzoną mu młodzież rozwinąć umysłowo, uszlachetnić i podnieść poziom jej uczuć! Plan naukowy nakazuje mu wyczerpać pewien materyał i to są te mechaniczne ramy, które mogą zacieśnić jego działalność do pewnego stopnia a nie są w stanie skrępować jego ducha, który całą pełnią sił swoich oddziaływać może na umysł i serce otwartych i czystych dusz młodzieńczych, może im udzielić całej swej mocy, energii, podzielić się z niemi swojemi myślami i uczuciami. Gdyby tak pojąć zechcieli nasi profesorowie swoje powołanie, ileby dobrego zrobili, jakimi byliby ich wychowankowie! Dziś młodzież, szczególnie na prowincyi, wychodzi ze szkoły średniej z niechęcią albo nawet z nienawiścią do profesorów, wychodzi co gorsza bez nadziei i wiary w ludzi. To usposobienie młodzieży jest najlepszym dowodem że wychowanie i nauka szkolna nie wydają takich owoców, jakichby się po nich spodziewać należało. I tu właśnie leży błąd, jaki popełniła ankieta szkolna, że zajęła się tylko sprawą systemu, nie uwzględniła zaś tego, co jest najgłowniejszą rzeczą t. j. że tak, jak wiara bez uczynków jest martwą, taksamo system, choćby najlepszy, pozostanie zawsze martwym, jeżeli jego wykonawcy, profesorowie, nie potrafią tchnąć weń ducha, nie potrafią ożywić i ogrzać go zapałem, z głębi serca zaczerpniętym. Dziś brak nam takich pracowników, jak wogóle, brak nam ludzi czynu, którzyby potrafili wlać w ten czyn i energię i zapał.

A przecież do niedawna jeszcze słyszeliśmy o profesorach, ukochanych przez swą młodzież, którzy choć się z wychowankami swymi rozstali w szkole, wypuszczając ich w świat, nie zerwali ani na chwilę bliższych stosunków z nimi, ciągle się z nimi stykali, porozumiewali i myślami swemi dzielili.

Z początku ojcowie surowi i nieugięci, ale zawsze z sercem gorącem i otwartem, z rodzicielską troskliwością o dobro powierzonej

sobie młodzieży, później przyjmują tę młodzież w szeregi armii bojowników dla wspólnej sprawy, pozostają zawsze jej starszymi braćmi, aby radą swą wspierać ich, zachęcać ich i podniecać. Dlatego takich przewodników młodzież zawsze kochała i czciła, i pamięć ich nieskalaną zachowała na dni późniejsze. Niedawno jeszcze zawiązał się komitet ludzi starszych celem uczczenia zasług byłego swego profesora ś. p. Rozmuskiego z Krakowa, przez postawienie mu pomnika i utworzenie stypendyum jego imienia. A dziś? — Tu i owdzie błąkają się jeszcze tacy profesorowie, narażeni na ciągłe szykany, bądź to ze strony Rady szkolnej, bądź ze strony swych zmateryalizowanych kolegów; usuwają nauczycieli lepszych, dzielniejszych i szlachetniejszych od wpływu na młodzież szkolną starszą; gorzej jeszcze: między akademikami, mającymi się poświęcić stanowi nauczycielskiemu znajdują się tacy, którzy już naprzód tak kierują swoimi czynami, aby im w przyszłości nie zaszkodzić nie mogło w przyjęciu na suplentów, starają się zataić wszystkie wolnomyślne postępki swoje, aby się władza szkolna przypadkiem o nich nie dowiedziała. I jak każdej sprawy wielkiej, nie posuną naprzód ci, którzy chcą ją popierać, ale oszczędzając swoją osobę i nie narażając się na żadne, choćby najmniejsze niebezpieczeństwo, tak też i z takich przyszłych nauczycieli, oglądających się trwożliwie na wszystkie strony, w obawie, byle tylko niezbyt wiele ze swego osobistego szczęścia poświęcić, społeczeństwo i młodzież nasza pożytku mieć nie będzie. W interesie swojej powagi nauczycielskiej zabraniają profesorowie uczniom wyjawiać swoje zdania i myśli, interpelować siebie o swój wykład i t. d. — a jednak zapominają o tem, że powaga nauczyciela nie da się wywołać sztucznymi środkami, poważną miną i groźnym głosem, ale że dostaje się w udziele tylko temu, który na nią zasłużył, swoją wyższością umysłową i moralną. Składają się na to nie zewnętrzne właściwości, ale ciągłe oddziaływanie ducha, a młodzież, obdarzona instynktem, odczuje tych przewodników, którzy ją prowadzić mogą, i uznawać w nich będzie powagę taką, jaką ma ojciec u swoich dzieci a innym nauczycielom odda tę powagę, jaką ma dyscyplina u małych dzieci. Posłuchajmy, co mówi w tej sprawie Piast w swoich „Aforyzmach“:

„Nauczyciel karyerowicz, nauczyciel nakręcony jak katarynka, żeby odegrać nutę zgóry nakazaną, nauczyciel uczący za pieniądze i dla pieniędzy, może mieć dyplom i patent nauczyciela, ale będzie zawsze tylko nie nauczycielem, ale koruptorem młodzieży. Zapewne, że i nauczyciel z powołania daje czas i fatygę, za którą mu się należy słuszne wynagrodzenie, ale on daje prócz tego to, czego żadne skarby świata kupić nie mogą — daje swoją duszę, pobudza zapał do wszystkiego, co wielkie i szlachetne, przejmuje własnem pragnieniem wiedzy, zapala własnym ogniem i rozdmuchuje w duszy młodej iskrę nieśmiertelną. Tylko taki też zasługuje na dostojne miano nauczyciela. Choćby niewiedzieć jak hojnie wynagrodzony, on stokroć więcej daje jak bierze, jest dobroczyńcą i rodziców i młodzieży mu powierzonej. Dlatego też już starodawni Aryowie w Indyach wyżej cenili godność nauczyciela (guru) aniżeli dostojność rodzicielską, bo mówili, że rodziciel jest tylko ojcem ciała, „guru“ zaś ojcem duszy“.

Dziwią się, że młodzież nie ma zaufania do nauczycieli, że młodzież akademicka nie garnie się do studyów filozoficznych, że szerzy się ogólna niechęć do piastowania godności nauczycielskiej, a przyczyna tego jest przecież tak jasna: zrobiono z tego stanu karyerę, nauczyciel stał się urzędnikiem, a przestał być wychowawcą.

Niech karyerowiczostwo ustąpi z serca i myśli profesorów, niech ich ideałem nie będzie tylko złoty kołnierz i uznanie Rady szkolnej, a wnet upadną strupieszałe w swym konserwatyzmie naczelne organa szkolne, wnet się zmieni kierunek wychowania i nauki w szkole, a wtedy da się bez przeszkody uskutecznić upragniona przez wszystkich reforma systemu, już nie jako rzecz martwa, jako teorya, ale jako wyraz odrodzonego sposobu myślenia nauczycieli; wtedy także stan nauczycielski, powróci na ten wysoki stopień, na jakim stać powinien.

A jak obowiązkiem społeczeństwa jest, dbać o polepszenie bytu materyalnego nauczycieli, tak z drugiej strony samej młodzieży należy kupić się około tych profesorów, którzy są jej przyjaciółmi, popierać ich i umożliwiać im działanie i nie pozwolić im zmarnieć w zepsutej atmosferze, która ich otacza.

Nakoniec zwracamy się do czytelników naszych z prośbą, aby zechcieli się podzielić z nami swojemi myślami i uwagami w tej kwestyi, a mamy nadzieję, że te myśli i uwagi nie przejdą bez skutku.

*
* *

A słońce prawdy wschodu nie zna i zachodu:
Równie chętne każdego plemionom narodu
I dzień lubiące każdej rozszerzać Ojczyźnie,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.

A. Mickiewicz.

*
* *

Naród nie inaczej nabywa oświecenia w religii, w polityce, w moralności, jak tylko zapomocą wielkich przykładów.

A. Mickiewicz.

W krwawych zapasach.

(Opowiadanie z dziejów powstania 1863 roku).

Było ich trzystu....

Znękani, zgłodniali, po dwu dobach forsownego marszu i kilku drobnych, ale męczących utarczkach i zasadzkach, zatrzymali się w spalonej wioszczynie, wśród lasów i błot niezmiernych; roztasowali się w zrujnowanych chałupach, rozłożyli ogniska i rozgrzewając zziębnięte członki warzyli sobie strawę.

Mieli się w tem miejscu złączyć ze znacznie większym oddziałem swoich, by tem skuteczniej dawać opór wrogowi; ale wieczorem dnia tego przyleciał na spienionym koniu goniec, dając znać, iż oddział ten poniósłszy dość znaczną klęskę przed paru dniami, cofnął się ku zachodowi. Należało więc zręcznie wyminąć pułk piechoty moskiewskiej (który wydelegowany umyślnie na nich, miał o mil trzy nocować) i co siły iść ku wyżej wspomnianemu oddziałowi powstańców. To też z ust do ust podawali sobie rozkaz wodza, że na spoczynek i jedzenie mają dwie godziny tylko, a potem marsz — i nie wypoczną może, aż w ziemi.

W około ognisk siedzieli wychudli i zczernieli od nocy bezsennych i wysiłków nadludzkich, rycerze, Ubiór ich i uzbrojenie wskazywały na pierwszy rzut oka prędzej bandę zbójców, niż oddział regularnych żołnierzy. A jednak byli to rycerze mężni, szlachetni i pełni poświęcenia; karni i sprawni, gdyż oddział ten był ugnieciony ręką starego Szurskiego, który nie w jednej bitwie bywał, nie z jednego pieca chleb jadał; twarz miał blizn pełną i brakło mu lewej ręki, urwanej kulą armatnią pod Sebastopolem, gdzie stawał jako żuaw francuski.

Krzepki, barczysty starzec, o wyniosłem, siatką zmarszczek pooranem czole, z wiecznie zsuniętami groźnie brwiami, z pod których patrzyły prosto przed siebie śmiałe, bystre i przenikliwe oczy, koloru nieokreślonego — błękitnawo szare; przechodził pewnym miarowym krokiem od ogniska do ogniska; przy każdem się zatrzymał, przemówił kilka słów zachęty i szedł dalej. Wreszcie zatrzymał się przy jednem, zbliżył się do wspartego o słup spalony młodego żołnierza i położył mu rękę na ramieniu. Ten pogrążony w zadumie, poczuwszy, że go ktoś trąca, drgnął, spojrzał na stojącego przed nim starca, schylił się i w milczeniu pocałował jego twardą, kościstą rękę. Spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się do siebie.

„O czemżeś się tak zadumał, Janie?“ zapytał Szurski.

„Myślałem o Matuli i Józi“...

Stary westchnął, odwrócił się i poszedł w inną stronę. Nieznacznie obejrzawszy się, czy nie jest od nikogo widzianym, szybko strącił natrętną łzę z powiek, wywołaną słowami syna i znikł w ciemności gąszczów otaczających obozowisko. Poszedł obejrzeć, czy straże w porządku.

Przy jednem z ognisk, ukrytem między zwalonemi ścianami chałupy, dość było wesoło. Czerwone światło, odbijając się od białych ścian wewnętrznych, oświecało grupę blisko dwudziestu ludzi, zajętych bardzo pilnie rozbieraniem niewielkiego wieprza, który, zbłąkawszy się w zaroślach, padł ofiarą zgłodniałych żołnierzy. Z widoczną przyjemnością zakasawszy rękawy, odcinali oni pałaszami i nożami schaby, polędwice i szynki i co prędzej, zatknąwszy na improwizowane rożny z zaostrzonych gałęzi, obracali ściekające krwią nad płomieniem kawały. Jeden z nich młody, może dwudziestoletni chłopak z bladą, cynicznie uśmiechniętą twarzą i okularami na nosie, skończył właśnie ogryzać kości nawpół surowego koguta i wzniósłszy ręce do góry, zadeklamował z komiczną powagą:

„Zaledwo się z jaja wylęgło,
Zaledwo pozbyło się puchu,
A już i kresu dosięgło:
Złożyło kości w mym brzuchu!
O, ty!...“

Urwał nagle, wzniósł brwi, udając mocne zdziwienie i pieszczotliwie, zmieniwszy w jednej chwili wyraz twarzy, wyciągnął rękę do chudego, wąsatego towarzysza, który, oparłszy jedną bosą nogę o kloc, leżący tuż przy ogniu, poddawał ją operacyi ciepła, a na kolanie trzymał but rozpaczliwie otwierający usta, wołające o pomstę i ratunek, i usiłował zmusić go do milczenia z pomocą noża i kawałka szarego sznurka.

„Antosiu! serce, kochanku mój! zapomniałem ci powinszować! Chłopcy! Antoś dziś może być uważany jako bohater dnia, bo też dokonał bohaterskiego czynu; zdobył w karczmie przydrożnej na rudym Judaszu butelkę — pewno z oko gorzały! Patrzcie jak poważnie spogląda ku nam ta szanowna matrona. Nie widzicie? Ot, ot wyciąga szyję z torby Antosia.

Rzeczywiście z myśliwskiej torby wąsacza wyzierała dość poważnych rozmiarów butelka z zielonawego szkła.

„Antosiu, serce! Achillesie! Daj skosztować“, przemawiał, coraz się słodziej uśmiechając, wesoły towarzysz, wyciągnął rękę i chwyciwszy butelkę za szyję, począł ją wydobywać z torby. Wąsacz mruknął coś niechętnie pod nosem, ale nie bronił. Wszyscy poczęli się grupować koło gorzałki i wesołego młodzieńca.

„W twoje ręce, Jurku!“ zawołał ten ostatni, zwracając się do towarzysza z owiązaną krwawą szmatą, głową: „Bodaj mi się wiodło zawsze tak, jak onegdaj, gdyśmy to koło Zgniłego Mostka prażyli z krzaków owych przeprawiających się drapichrustów. Nie zmarnowałem prochu, co? A ów oficerzyna mizerny, jak zaśpiewal, gdym go połechtał bagnetem w okolicy dziewiątego żebra. Ot tobie, to się niezupełnie powiodło“, dodał, wskazując na owiązane czoło towarzysza: „a Kuba to ci dostał tak kulką, że mu aż rozum wyskoczył, co mię mocno zdziwiło, bo za życia wcale rozumu nie okazywał, zapewne przez skromność“.

„Cicho, Bąku w okularach!“ zawołał gniewnie inny towarzysz.

„Co, Bąk? Bąk przynajmniej nieraz potrafi krwi porządnie się napić, choć przez okulary patrzy, a Dudek taki jak ty, to tylko umie mołodyce po wsiach zaczepiać, a jak przyjdzie do sprawy, to go nie widać, tylko zapach niemiły, dudkom zwyczajny, wskazuje miejsce, gdzie się ukrywa“...

Śmiech chóralny zawtórował jego słowom, a pobity Dudek usunął się niechętnie na stronę.

Tymczasem manierka okrążyła wszystkich i przyszła znów do rąk wesołego Bąka, a ten przymrużając oczy, spojrzał na nią przez okulary pod światło i uśmiechając się ironicznie zwrócił się do jej właściciela.

„W twoje ręce zacny i nieoceniony Antosiu, pogromco rudego propinatora“.

Tamten podniósł zmęczoną twarz z nad reparowanego buta, wyciągnął rękę, ale zaledwo przechylił, — z błyskiem gniewu w oczach rzucił butelkę w płomień, aż się rozprysła na drobne kawałki i zaklął zcicha.

„Cha, cha, cha, boski Achillesie! O, niezwyciężony! Nie potrafiłeś się napić z próżnej butelki? Cha, cha!... Zapomniałeś przycisnąć, możebyś co wydusił. Przecie zrana wydusiłeś z żyda całą butelkę, możebyś wieczorem potrafił wydusić z butelki choć kropelkę! Cha, cha... A dobra była nieboszczka! Dalibóg najmniej 60 prc. — szkoda, żeś choć nie powąchał!“...

Ale wąsal, widocznie flegmatyk wielki, nie odrzekł nic na tak ostre dowcipy kolegi, owinął się w burkę i wyciągnął się u ogniska. Tamci częścią gwarzyli jeszcze, ogryzając przysmalone z jednej strony, z innej znów zupełnie prawie surowe schaby, częścią poukładali się do snu — gdy stanął między nimi Szurski. Wszyscy umilkli, bo szanowali go i lubili, a on zbliżył się do jednego ze śpiących i trącając go lekko w ramię, przemówił z cicha: „Stanisławie!“ Żołnierz zerwał się na równe nogi.

„Chodź tu“, rzekł mu pułkownik, odprowadzając go na stronę. Potem szeptał mu coś długo, ręką wskazując na zachód, wreszcie głośniej skończył:

„Tylko ostrożnie i żwawo, tak jak ty umiesz“.

„Wedle rozkazu“.

I chwyciwszy karabin oparty o ścianę, zniknął między zwaliskami.

„No, bracia“, zwrócił się pułkownik do reszty — „spać! Za godzinę ruszamy“.

Zakręcił się i odszedł; minął jedno i drugie przygasłe ognisko otoczone śpiącemi postaciami, aż przy jednem się zatrzymał. Pałało niepewnymi błyskami, dymiąc silnie, gdyż znać narzucono nań wilgotnych gałęzi. Kilku śpiących żołnierzy leżało jeden przy drugim, a z boku przy murze leżał jeden na rozpostartym płaszczu na wznak, ranny widocznie, a drugi siedział przy nim, patrząc ponuro w ziemię. Blady połysk ognia padał na twarz chorego, białą jak kreda, młodą jeszcze, a wykrzywioną cierpieniem. Z pod zsuniętych czarnych brwi gorączkowo błyszczały oczy. Jedną ręką przyciskał coś do piersi, drugą szczypał bezwiednie róg płaszcza i mówił coś ciągle szybko, urywając co chwila.

„Bredzi?“ spytał zcicha pułkownik siedzącego towarzysza.

„Kona“, odrzekł tamten bezdźwięcznym głosem, nie ruszając się wcale.

„Nie opatrywał go Werner?“

„Poco: ja sam jestem lekarzem. Ma tu“ — dodał, wskazując pierś chorego — „pchnięcie bagnetem. Kulę można wyjąć i ranę zagoić — po bagnecie tylko śmierć. I tu gangrena i śmierć“...

Chory wciąż szeptał coś do siebie szybko, jakby się spieszył, potem jęknął zcicha, spojrzał przytomniej i rzekł głosem tak spokojnym i silnym, że aż pułkownik z towarzyszem zamienili pełne zdziwienia spojrzenia:

„Daj wody, Karolu“. A gdy ten pospiesznie podał mu wyszczerbiony kubek, wypił skwapliwie do dna i oddał drżącą ręką próżne naczynie.

„No cóż, żałujesz? daj jeszcze“, przemówił niecierpliwie, widząc, że towarzysz nie nalewa mu na nowo.

„Nie można, bracie!“

„Kiedy pić chcę!“ zawołał żałośnie z miną kapryśnego dziecka.

„Gorączka cię pali, nie można, bo ci zaszkodzi“, próbował mitygować go Karol.

„Gorączka... gdzie gorączka?.. jaka gorączka? To upał tylko taki straszny, a nie żadna gorączka! Żałujesz wody, co? sam pewnie wypiłeś wszystko.... całą rzekę.... cały staw... O — o, szeroki staw“ — majaczył dalej — „po nim łódka płynie, biały żagiel na słońcu migoce... a w łódce... No, dopłynie czy nie? Nie dopłynie? A ja się założę, że dopłynie, bo w niej... bo w niej... Cóż w niej u licha? Zapomniałem... Aha... Stach mówił, że bańka mydlana, a Józio się spierał, że.... wiara i boha... boha... No, jakże się nazywa to, co wczoraj zrobiłem, broniąc ciebie, gdy ów czerwony bagnetem mię dźgnął; a ty mu czaszkę rozbiłeś? Wszyscy mówili, żem postąpił jak boha...“ umilkł chwilę, jakby coś sobie przypominając — „Aha, bogaty! Cha, cha! ja bogaty?... Mam wioskę o sto mil, a tu buty dziurawe i ogień w piersi, a brat wody mi żałuje... Wody! wody!“ wykrzyknął, strasznie przewracając oczyma i usiłując się podnieść.

Wypił podany kubek i znów począł szeptać, mruczeć i wykrzykiwać jakieś zdania bez związku.

Szurski odszedł o kilkanaście kroków i usiadł. Chciał zasnąć, oparty o wywróconą kłodę i nie mógł. Setki pytań i myśli przesuwało mu się przez głowę. Co pocznie? Gdzie pójdzie? Dokoła jest otoczony. Zginą napewno. I choć żołnierze nie widzieli nigdy niepewności ani cierpienia na jego twarzy, teraz cierpiał widocznie, bo siwą głowę pochylił nisko, a twarz mu się krzywiła boleśnie. Czy mu chodziło o to, by nie zginąć? Nie. Znał się ze śmiercią od tak dawna, jak tylko zapamiętać może i zżył się, zbratał się z nią. Byli z sobą, jak starzy znajomi. Jeszcze w dzieciństwie, za czasów napoleońskich, widział dom ojca swego w płomieniach, widział mordowanych ludzi. To też nie bał się śmierci, a mało dbał o życie własne. A jednak mól jakiś go gryzie, jakaś niepewność i ból szarpie mu duszę. Syn jego Jan tu z nim jest; młode to i pełne nadziei. Gdy go wołał do boju, nie wahał się ani chwili. — Teraz niepewność jakaś sroga gniecie mu piersi. Chciałby wstać i rzec mu: „uchodź, bo śmierć w około. Ja stary, mnie i tak już niedługo — a przed tobą świat“... Już się podniósł i usiadł znowu. „Nie mogę“, szepnął sam do siebie. A ten tu obok konający. Znał przecie ich obu od dziecka. Karol poważniejszy był zawsze, ale ten, — co za zabawny był dzieciak! Biegał zawsze taki zwinny, taki zręczny!.. A jaki zdolny był, jak się uczył! A teraz co? Ot kona pod murem głodny i spragniony.. Majaczy...

„Matko!“ zawołał głośniej ranny.

Szurski wstał i zbliżył się ku niemu.

„Co!“ spytał nachylonego nad nim brata.

„Skonał“, odrzekł tamten, przesunąwszy bezwiednie ręką po twarzy. Potem zwrócił się i wziąwszy leżący obok rydel, począł rozszerzać jakąś jamę między zwaliskami.

Szurski ukląkł i modlił się długo, kornie chyląc głowę i bijąc się w piersi. Żal, czy zwątpienie przygniotło go tak silnie, że zdawało się zmalał, skurczył się, przylgnął niemal do ziemi, a łzy wielkie spływały po bruzdach jego srogiej ale szlachetnej twarzy i perliły się na siwych wąsach. Co myślał w tej chwili? Czy wspominał owe czasy, gdy trzymając na kolanach wrażliwe dziecko z wlepionemi w siebie, czarnemi, błyszczącemi ogniem i ciekawością oczami, opowiadał mu dziwnie piękne i długie historye o bojach, jakie stoczył, o mękach jakie przecierpiał w tułaczem życiu swojem i cieszył się, gdy zemsta i nienawiść skrzyły mu się w oczach i biły z rozognionej twarzy. Może wspominał owe szczęśliwe chwile, gdy sam rozbawiony jak dziecko, biegał z trzema malcami po łące zielonej, stawił ich, uzbrojonych w blaszane szabelki w szereg i z okrzykiem: „Do ataku! marsz!“ prowadził ich w biegu na chwasty i bodiaki suche, które miały wyobrażać Moskali i siekł je sam zażarcie i tamtych uczył, krzycząc: „precz z Moskalami! niech nie plugawią ziemi naszej!“ A potem zmęczeni siadali na trawie i on im znów opowiadał o taktyce wojennej, o męce Ojczyzny, o sposobach Jej wyzwolenia.,. „Boże, Boże!“ szeptał zsinałemi ustami starzec, chyląc się tak nisko że twarzą dotykał wilgotnej trawy.

Tymczasem Karol ukończył robotę, wziął brata na ręce, jak dziecko małe i złożywszy owiniętego płaszczem na dnie wązkiej jamy, począł nagarniać nań ziemię. Szurski stał z bezwiednie utkwionym wzrokiem w tego, całem sercem kochającego starszego brata, który sam blady, jak trup, oddawał młodszemu ostatnią posługę w roli grabarza, a gdy tamten skończył i westchnąwszy odszedł ku ognisku, stary spytał nieśmiało złamanym głosem:

„Nie modlisz się za niego?“

„Nie wierzę“, odrzekł krótko Karol, kładąc się na tem samem miejscu, gdzie przed chwilą skonał brat jego.

Usłyszawszy te smutne, pełne beznadziejnej rozpaczy słowa zwątpienia, Szurski drgnął jakby go coś w serce ukłuło i smutno zwiesiwszy głowę, odszedł ku straży.

W tem zatętniły kopyta pędzącego cwałem konia i głos warty: „Stój! Kto idzie!“

„Swój, do pułkownika!“ odrzekł jeździec, nie zatrzymując się wcale.

Szurski, głos znajomy usłyszawszy, wysunął się naprzód.

„A co tam?“ spytał żywo.

Jeździec zatrzymał się przed nim, aż koń zarył kopytami w ziemię i salutując wyrecytował;

„Nieprzyjaciel następuje; jest o pięć wiorst przy „Krutej“... sunie cicho czaharami.. Złapaliśmy języka, który mówi, że jest ich dwa tysiące... Wiedzą o nas i chcą znienacka napaść... Stefan z piętnastu ludźmi obchodzi ich z tyłu, chcąc zaalarmować: może ich choć na chwilę wstrzymają...“

Pułkownik wysłuchał go spokojnie; błysk jakiś przemknął mu po twarzy, wyprostował się i dał znak ręką. Rozległo się ciche alarmowe pogwizdywanie. Wszyscy żołnierze porwali się na nogi.

„Podsycić ogniska! Do szeregu!“ zabrzmiał czysty, prawie wesoły głos wodza.

Buchnęły jaśniejsze płomienie i oblały czerwonem światłem garść ludzi, którzy szybko z ogromną wprawą formowali się w szeregi gotowe do boju. Przed nimi stał ich pułkownik; wysoki bez ręki; na twarzy jego jaśniał płomień zapału, z pod brwi błyskały niedobre ogniki, które zwykle zapowiadały śmierć wrogom. Opuściły już go widocznie wszystkie zwątpienia, bo głowę trzymał wysoko, a stal mu w ręku świeciła.

„Szurski!“ zwrócił się wódz do żołnierzy.

(C. d. n.

Kronika.

Okólnik kuratora warszawskiego okręgu naukowego. Dyrektorowie warszawskich szkół otrzymali od kuratora okręgu warszawskiego okólnik, który przypomina im zakaz, że młodzieży szkolnej nie wolno brać udziału w uroczystościach narodowych i wzywa ich, by zakazu tego w czasie uroczystości Mickiewiczowskich jak najostrzej przestrzegali. Fakt ten nie jest dla nas nowością, dowodzi jednak, jak szczere są intencye rządu rosyjskiego, względem narodu polskiego, jak czcze i bezpodstawne są marzenia o ugodzie z caratem — z drugiej strony świadczą także o wolnomyślności samego kuratora, okrzycza-

nego w Rosyi za wielkiego postępowca i przyjaciela Polaków.

Owacye na uniwersytecie lwowskim. W kilku klerykalno-antysemickich pismach lwowskich, pojawiły się artykuły, których autorowie z całą zażartością rzucają się na dwóch profesorów wszechnicy, Dra Dybowskiego i Dra Nussbauma, wykładających nauki przyrodnicze; zarzucają im, że wykładami swymi, mianowicie szerzeniem „darwinizmu“ wywierają zły wpływ na młodzież i podkopują jej uczucia religijne. Niesprawiedliwa ta napaść znalazła swoje zadośćuczynienie. Wspomniani profesorowie cieszą się ogólną sympatyą wśród akademików, którzy postanowili zaprotestować przeciw tej napaści i w zeszłym tygodniu zgotowali prof: Dybowskiemu i Nussbaumowi serdeczną owacyę w czasie ich wykładów, dając tą manifestacyą pełną satysfakcyę pokrzywdzonym profesorom,

Rozwiązanie stowarzyszeń polskich akademików w Wrocławiu i Berlinie. Rząd pruski nakazał przed kilku dniami rektorom szkół wyższych w Wrocławiu i Berlinie, rozwiązać wszystkie stowarzyszenia młodzieży polskiej, tamże istniejące. Oburzające to zaiste, że w kraju konstytucyjnie rządzonym, cieszącym się pozorną wolnością dziać się mogą takie nadużycia i gwałty. To też piętnując ten fakt jako akt strasznej samowoli, widzimy w nim równocześnie dowód naszej odporności i siły żywotnej, przekonujemy się, jak bardzo boją się Prusacy rozwoju narodu polskiego, skoro całkiem zwykłe stowarzyszenia, o charakterze ściśle naukowym, wzbudzają u rządu pruskiego obawę przed niebezpieczeństwem propagowania patryotyzmu w szerokich masach.

„Zamknięta era Mickiewicza.“ Profesor Dr. Bronisław Gubrynowicz, przy sposobności wykładu o Słowackim na kursach akademickich dla kobiet, wypowiedział następujące zdanie o Mickiewiczu: „W czasach, które nastąpią, Słowacki a nie Mickiewicz będzie poetą młodzieży. Mickiewicza literacko-historycznie uwielbiamy, ale epoka jego zamknięta i skończona. Prąd przez niego reprezentowany już przeminął.“

Dziś gdy cały naród czci Mickiewicza jako swego największego poetę i proroka, a więc uznaje go i uwielbia jako człowieka przyszłości, dzisiejszy profesor literatury i to polskiej zalicza go już do przeszłości! Nie wiemy, czy mamy oburzać się na to, że są ludzie, którzy chcą obedrzeć świętości narodowe z ich zasługi i znaczenia, czy ubolewać nad niedolą naszego narodu, który zdobywszy się na oddawanie hołdu i czci największemu wieszczowi, musi już walczyć ze złymi duchami, usiłującymi zepchnąć go do stanu apatyi i nieczułości! Odpowiemy p. Gubrynowiczowi słowami samego Mickiewicza; „Jak są kraje, gdzie, niewiadomo z czego, ciągle powstają straszne i niezbadane choroby, znane pod nazwiskiem epidemii wielkich, tak są inne, gdzie mają siedzibę swoją epidemie moralne. Ale bywają nadzwyczajne zdarzenia, że choroba epidemiczna wszczyna się dobrowolnie w stronach świata, zupełnie dla niej obcych. Zdaje się, że jak w porządku fizycznym zepsucie powietrza, tak w moralnym zgnilizna tego, co nazywamy cywilizacyą sprawia podobne skutki,“

Czujemy teraz całą prawdę słów Mickiewicza; „któż nie czuje, jak to boleśnie widzieć swoje dobre chęci dla narodu sponiewierane i niewdzięcznością zapłacone.“ Ale dla nas Mickiewicz tem droższy im większe ciernie spadają na jego głowę! Dlatego wierzymy, że jak przeszedł przez grad kamienny Dmochowskiego i Osińskiego, a przyjęty został i odczuty przez cały naród, tak dziś ten sam naród nie da go wydrzeć sobie nikomu, nie pójdzie na lep fałszywych „krytyków!“

Manifestacya młodzieży wileńskiej. Rok ubiegły obfitował w rozmaite wypadki mniej lub więcej ważne dla Polski, a w szczególności dla części jej w zaborze rosyjskim. W tej samej niemal chwili, gdy polskie społeczeństwo w Warszawie czciło pamięć największego swego wieszcza, szermierza niepodległości Polski i wolności ludów, rząd azyatycki wznosił w Wilnie pomnik kata Litwy, Murawiewa; Moskale pod osłoną bagnetów, w sercu Litwy odprawiali haniebną uroczystość, tak haniebną jakiej zaiste świat dotąd nie widział. Młodzież wileńska pomimo straszliwego gnębienia, jakiego doznawała przez dziesiątki lat, ma jeszcze w sercu i w duchu pierwiastki tej szlachetności i rycerskości jaka była wybitną cechą Promienistych i Filomatów, nie mogła biernie zachowywać się podczas moskiewskich tryumfów na grobie Litwy i zamanifestowała uczucie swego oburzenia; gdy zebrano uczniów wileńskiego gimnazyum w sali celem zmuszenia ich do wysłuchania odczytu o bohaterskich czynach „Wieszatiela“ uczniowie, którym to oznajmiono, rzucili się gremialnie do drzwi z zamiarem natychmiastowego opuszczenia sali, pomimo groźb i obelg ze strony dyrektora

gimnazyum i całej kliki moskiewskich profesorów i bedlów; lecz drzwi okazały się zamknięte, pomimo to wyłamano je i zamiary władz gimnazyalnych co do uroczystego nabożeństwa i odczytu spełzły na niczem; w tym wypadku, tak jak w wielu innych, podobnej treści, nastąpiły wydalania niektórych uczniów podejrzanych o podjudzanie kolegów do manifestacyi; tacy mają drogę do kształcenia się w kraju na zawsze zamkniętą, więc zmuszeni są wyjeżdżać na na dalszą naukę do Galicyi lub za granicę.

Atrament tajemniczy

(sympatyczny).

Wzmianki o atramencie sympatycznym spotykamy już w dziełach starożytnych Greków i Rzymian. Znali go wyłącznie kapłani i używali do pisania odpowiedzi, udzielanych pobożnym. Sposób przyrządzania tego atramentu trzymali w sekrecie i niemało on się przyczynił do tego, by pokryć działalność kapłanów płaszczem tajemniczości.

Biedny pielgrzym otrzymał nieraz, za drogie pieniądze, po rozmaitych tajemniczych ceremoniach, czystą kartkę z poleceniem, by nosił ją na piersi przez pewien przeciąg czasu; po upływie nakazanego czasu wyjąwszy kartkę, ujrzał ze zdumieniem wyraźnie wypisaną odpowiedź kapłanów. Widząc wtedy, że słowa kapłanów się sprawdziły, a nie mogąc sobie w inny sposób wytłumaczyć tego dziwnego pojawieniu się liter na pierwotnie czystym papierze, musiał on uwierzyć, że sami bogowie udzielają mu odpowiedzi.

Kiedy z rozpowszechnieniem chrześciaństwa kapłani byli zmuszeni opuścić swoje świątynie, wzięli oni ze sobą do grobu między innemi i sekret preparowania tego atramentu.

Dopiero w późniejszym rozwoju nauki chemi, poznano kilka ciał o podobnych własnościach.

Takie ciało rozpuszczamy we wodzie i piszemy tym roztworem na papierze; po wysuszeniu w zwyklej temperaturze zauważymy, że litery zupełnie znikną, a papier będzie wyglądał, jakbyśmy na nim nic nie pisali. Litery jednak wystąpią bardzo wyraźnie, gdy ogrzejemy papier, trzymając go naprzykład przez pewien czas na gorącym piecu.

Zjawisko to tłumaczymy sobie w następujący sposób: ciało o wyżej wymienionych własnościach, zawierające wodę jest bezbarwne, albo lekko zabarwione; po ogrzaniu woda ulatnia się, a ciało przybiera wyraźną i łatwo dla oka dostrzegalną barwę.

Jednem z takich ciał jest chlorek kobaltawy ($Coll_2$), który można nabyć w każdej drogueryi.

Rozczyn chlorku we wodzie jest lekko na różowo zabarwiony, a kolor liter, które występują po podegrzaniu, jest intenzywnie niebieski. Do pisania najlepiej używać piór gęsich lub szklanych, ponieważ stalówki psują się.

Chociaż czarodziejska sztuka już dawno znikła z powierzchni ziemi i nie wieleby się ludzi znalazło tak łatwowiernych, by się dali oszukać, jak niegdyś, spodziewam się jednak, że nie jeden z Was, czytelnicy, nie będąc ani kapłanem, ani czarodziejem, tylko zwykłym profanem, mógłby owego tajemniczego atramentu użyć z równem, jak oni, powodzeniem.

Alchemik.

Pytania i odpowiedzi.

Na tem miejscu umieszczać będziemy odpowiedzi na zapytania czytelników w kwestyach naukowych. Prosimy zatem czytelników o nadsyłanie jak najliczniejszych zapytań, a my będziemy się starali objaśnić im wszelkie wątpliwości.

Wydawca: **Władysław Wolski.** Odpow. redaktor: **Aleksander Wieleżyński.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.